

Cezary RITTER

CZY CHRZEŚCIJANIN MOŻE BYĆ POLITYKIEM?

Odpowiedź na tytułowe pytanie jest oczywiście twierdząca, a samo pytanie poniekąd retoryczne. Wszak polityka to niezwykle szeroki obszar, w którym człowiek może czynić dobro. Trudno zatem sobie wyobrazić, aby chrześcijanin, który jest odpowiedzialny za dobro w swoim życiu osobistym czy rodzinnym, nie miał brać udziału w życiu politycznym. Można tu wręcz mówić o obowiązku uczestniczenia chrześcijan w polityce.

Nikt zresztą we współczesnym świecie – nawet gdyby chciał – od polityki nie jest wolny. Kilka wieków temu w znajdującej się w środku Europy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej taki na przykład Kiemlicz mógł sobie mieszkać z synami w chacie, gdzieś pośrodku lasu, mieć się lepiej lub gorzej, bardziej lub mniej uczciwie zdobywać środki utrzymania – i zarazem nie wiedzieć, czy miłościwie mu panujący król to Jan Kazimierz, czy może jego krewniak z drugiej strony Bałtyku. Dla jego codziennego życia nie było to bardzo istotne. Rządy nowego króla nie wiązały się z gwałtownymi zmianami w państwie, które by wprost dotyczyły żyjącego sobie gdzieś na prowincji człowieka.

Dziś jest inaczej. Jest trochę tak, jak w znanej komedii Juliusza Machulskiego *Vabank II*. Mówi obywatel: „Ich interessiere mich nicht für die Politik!”, na co urzędnik wszechogarniającego państwa odpowiada: „Aber die Politik interessiert sich für Sie!”. Co tu dużo mówić, przy wszystkich niebagatelnych różnicach między państwem totalitarnym – do którego odnosił się dialog z filmu Machulskiego – a państwem demokratycznym, prawdopodobnie nie ma dziś w Europie człowieka, który mógłby sobie powiedzieć, że polityka nic go nie obchodzi i żyć sobie tak, jak żył w lesie ów Kiemlicz z synami. Przecież każda zmiana ekipy rządzącej – niemal w myśl znanej leninowskiej zasady, że najważniejsze są kadry – sięga dziś głęboko „w dół”. A tak na marginesie, ciekawe, czy w Polsce posada leśniczego jest już obsadzana z klucza partyjnego, czy jeszcze nie?

Skoro zatem od polityki uciec nie można, wróćmy do pytania o obecność chrześcijan w polityce. Często w tym kontekście cytuje się pochodzący z drugiego wieku (oczywiście po Chrystusie) słynny list *Do Diogneta*. Nieznany nam z imienia autor listu pisze, że chrześcijanie nie mają swoich miast, swojego języka, swojego stroju. Dzielą to wszystko z innymi ludźmi. Chrześcijanie „mieszkają każdy we własnej ojczyźnie, lecz niby obcy przybysze. Podejmują wszystkie obowiązki jak obywatele i znoszą ciężary jak cudzoziemcy. [...] Kochają wszystkich ludzi, a wszyscy ich nienawidzą. [...] Obrażają ich, a oni okazują wszystkim szacunek. Czynią dobrze, a karani są jak zbrodniarze”. Tym, co różni chrześcijan od wszystkich innych ludzi, jest nadzieja, jaką pokładają w Chrystusie, w tym, że stał się On człowiekiem, umarł i zmartwychwstał i że w Nim Bóg odpuścił nam grzechy, powołując nas do życia wiecznego. Gdyby było inaczej, chrześcijanie byliby – jak to podkreśla św. Paweł – „bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15, 19).

List *Do Diogneta* w sposób bardzo piękny i nad wyraz trafny oddaje stosunek chrześcijan do życia doczesnego. Nie jest to pogarda i odrzucenie, ale nie jest to także nadmierne przywiązanie. Kiedy jednak przy różnych okazjach list ten był przywoływany jako – by się tak wyrazić – świadek

koronny w sprawie relacji chrześcijan do świata (a czyniono to zwłaszcza dla zilustrowania nowej „posoborowej” wizji relacji Kościół – świat doczesny), to nie zawsze wydawało mi się to do końca trafne. Wszak w Europie w ciągu dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa coś się jednak zmieniło w porównaniu z sytuacją, w której powstał przywoływany tu list. Skoro, na przykład, Cyprian Norwid w wierszu *Moja piosnka* pisał: „Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony / Są jak odwieczne Chrystusa wyzwanie: / «Bądź pochwalony!»... / Tęskno mi Panie...” – to przecież pisał o kraju, w którym obyczaj chrześcijański stał się powszechny. To już kraj, w którym chrześcijanie nie mieszkają „w miastach helleńskich i barbarzyńskich”, ale mają swoje miasta, swój obyczaj, swój – chrześcijański właśnie – styl życia. To kraj o chrześcijańskiej kulturze.

Czy zatem odwoływanie się do listu *Do Diogneta* nie jest tu pewnym anachronizmem, skoro list ten był pisany w sytuacji, gdy chrześcijanie żyli w środowisku pogan? A może współczesny kontekst religijno-kulturowy bardziej przypomina tamten z drugiego wieku, niż ten, który dostrzec możemy w wierszu Norwida? Jeśli w pierwszych wiekach po Chrystusie pytanie, czy chrześcijanin może być politykiem, było pytaniem retorycznym, to raczej w tym sensie, że odpowiedź na nie była negatywna: nie może, bo bycie politykiem – podobnie, jak wykonywanie niektórych innych zawodów – wiązało się z udziałem w państwowym kulcie religijnym. Aczkolwiek już wtedy pojawiali się ludzie, którzy sprawowanie funkcji politycznych starali się godzić z wyznawaną przez siebie wiarą w Chrystusa. W samej bowiem nauce Chrystusa nie było nic, co by tę możliwość wykluczało. Jeśli pojawiała się tu trudność, to przede wszystkim z tego powodu, że samo państwo wykraczało poza właściwe sobie, ograniczone do „spraw cesarskich”, kompetencje.

Jakie są kompetencje cezara? Odpowiedź samego Chrystusa jest precyzyjna. Pytany, czy wolno płacić podatek, czy nie, kazał sobie pokazać denara i sam zadał swym rozmówcom pytanie: „Czyj nosi obraz i napis?” (Łk 20, 24). Gdy Mu powiedzieli, że cezara, udzielił odpowiedzi: „Oddajcie więc cesarowi to, co należy do cezara, a Bogu to, co należy do Boga” (Łk 20, 25). A co należy do Boga? To, na czym został odcisnięty Jego wizerunek: człowiek – stworzony na Boże podobieństwo jako istota rozumna i wolna (por. Rdz 1, 26). Człowiek zatem należy do Boga, państwo nie ma nad nim władzy. Sądzę, że żaden liberał nie wymyślił nic bardziej liberalnego w sprawie ograniczenia kompetencji państwa.

Kimś, kto w tym duchu pojmował politykę i kompetencje państwa był św. Tomasz Morus, ogłoszony cztery lata temu przez Jana Pawła II patronem polityków. Czytelnicy „Ethosu” być może pamiętają, iż znaczna część jednego z niedawnych numerów naszego pisma została poświęcona tej właśnie niezwykle ciekawej postaci. Tomasz Morus był wysokim urzędnikiem w służbie króla angielskiego, ale sprawy domowe starał się oddzielać od politycznych. To właśnie łączyło go z Kiemliczem, że nie miał ochoty dawać władcy prawa do „wścibiania nosa” w jego osobiste życie (od Kiemlicza różniło go jednak to, że na życie zarabiał zawsze w sposób godziwy). Był mocno przywiązany do Kościoła katolickiego, szczerze wyznawał wiarę i naukę moralną Kościoła. Z tego, co o nim wiemy, możemy sądzić, że dążył do świętości, ale niekoniecznie do męczeństwa. Stąd, gdy król Henryk VIII zażądał od niego sprzecznej z jego sumieniem deklaracji w sprawie dopuszczalności rozwodów, pragnął zachować prawo do milczenia. Dopiero, gdy milczeć już mu nie pozwolono, przyznał otwarcie, że jego poglądy w sprawach małżeństwa różnią się od tych, których życzy sobie król. Mógłby oczywiście dodać – podobnie, jak próbował to czynić w podobnej sprawie (tyle, że chodziło nie o kwestię rozwodów, lecz związków homoseksualnych) kandydat na komisarza europejskiego prof. Rocco Buttiglione – że jego przekonania moralne nie będą miały znaczenia dla jego stosunku do państwa, króla i osób rozwiedzionych zdaje się jednak, że nie miałyby to większego znaczenia. Henryk VIII ze szczerym bólem serca – bo przecież naprawdę lubił swojego kanclerza – kazał ściąć Tomaszowi głowę.

Nie przypadkiem przywołałem powyżej osobę profesora Buttiglione. „Sprawa Buttiglione” stała się na tyle bulwersująca i znana, że nie muszę jej w tym miejscu opisywać. Zestawienie tego ostatniego ze świętym męczennikiem może jednak wydać się niektórym przesadzone. Wśród nich na pierwszym miejscu byłby zapewne sam Buttiglione. Komentując swoją postawę wobec

przesłuchującej go komisji Parlamentu Europejskiego, powiedział: „Nie wiem, czy mam tak silną wiarę, bym dał sobie uciąć głowę za moje przekonania, ale mam dość wiary, by zrezygnować z urzędu w Komisji, jeśli to będzie konieczne”. Tyle tylko, że słowa te równie dobrze mógłby wypowiedzieć Tomasz Morus. Także i on nie dążył do tak radykalnego sprawdzenia stanu swojej wiary.

W mieniącej się demokratyczną Unii Europejskiej na razie wiadomo tyle: chrześcijanin może być politykiem, ale jeśli będzie bronił swej wiary religijnej – do czego zgodnie z Europejską Konwencją Praw Człowieka ma prawo – nie może być komisarzem europejskim. O ścinaniu głowy „na dzień dzisiejszy” (używając urzędniczo-medialnej polszczyzny) nie ma mowy.